ROZDZIAŁ 6

Mad Przemo

Łowca Maszyn

mad Premo
towca Magm

Wyłaniające się słońce oświetlało pokryte grubym śniegiem ruiny gospodarstw rolnych, rozrzuconych pośród martwych pól i lasów. Delikatny powiew mroźnego wiatru kołysał gałęziami zmarzniętych drzew, sterczących wzdłuż drogi numer 10. Poszarpana, brunatno—szara wstążka wydzierała spod białego całunu, który okrywał martwą okolicę.

Blask życiodajnej gwiazdy zbudził stado wron, które zasiadały na nielicznych drzewach niesięgniętych przez pożogę. Nielicznych, w których tliła się iskierka życia. Gdy martwą krainę omiatały cieplejsze wiatry, a słońce świeciło dłużej, odżywały na krótko. Teraz jednak rządziła zima, „sroga pani", karząca wszystkie słabe istoty, niezdolne do samodzielnej walki o przetrwanie. Od kilku lat jej zawzięte panowanie wydłużało się o parę dni, aż w końcu stało się faktem. Lato stawało się kolejnym wspomnieniem utraconego świata.

Czarne ptaszyska poderwały się do lotu, rozpoczynając kolejne poszukiwania pożywienia. Szybowały wzdłuż drogi, wokół której leżało mnóstwo wraków pojazdów. Kiedyś były to zaawansowane technicznie, nowoczesne i luksusowo wyposażone maszyny. Dawny symbol wysokiego statusu społecznego. Teraz zepchnięte do przydrożnych rowów rdzewiejące auta zionęły grozą i nie przedstawiały najmniejszej wartości. Już dawno zostały ograbione z lepszych części.

Nikt, kto poprzez trudy i cierpienie nie zdobył doświadczenia w sztuce przetrwania nie powinien podróżować samotnie poprzez mroźne stepy. Panująca cisza miażdżyła czaszkę. Najmniejszy szmer wiatru przyprawiał o zawał serca. To okropne wrażenie potęgowało złowieszcze krakanie wron.

Słoneczne promienie padały na dwóch rosłych, uzbrojonych mężczyzn, którzy wyłaniali się z przydrożnego lasku, po zachodniej stronie drogi. Stanąwszy na bitej nawierzchni, odpięli rakiety śnieżne od swoich butów i przytroczyli je do ogromnych, połatanych plecaków ze stelażami. Plecaki były wypełnione po brzegi dobrami przeróżnej maści i niemiłosiernie ciężkie, toteż wędrowcy odetchnęli z ulgą zdejmując je na chwilę.

— Przezorny zawsze wyposażony – stęknął starszy wędrowiec, kładąc na ziemi wypchany plecak, na którego szelki nałożono dodatkowo kilka ładownic z podręcznym asortymentem. Mężczyzna odpiął manierkę od oporządzenia i pociągnął z niej kilka łyków, po czym zaczął wymachiwać obolałymi ramionami.

Miał na sobie wytarte dżinsy, wetknięte w parę czarnych gumowców. Jego korpus zdobiła zbroja z gładkich, metalowych płyt, nałożona na starą, wojskową bechatkę. Zbroja miała wgniecenia i kilka zalutowanych otworów. Pomalowana była matową, białą farbą. Na głowie mężczyzny tkwiła wojskowa uszanka, twarz przysłaniały przeciwsłoneczne okulary i szumiaste, ciemne wąsy. Ze skórzanej kabury zaczepionej na prawym udzie wystawał potężny obrzyn, na plecaku zaś wisiała ogromna kusza i kołczan wypełniony bełtami.

Drugim z podróżnych był osiemnastoletni młodzieniec, wysoki i barczysty. Ubrany w czarną, skórzaną kurtkę z futrzaną podszewką, zwieńczoną parą naramienników z plastiku obciągniętego skórą z ćwiekami, gruby szal z białej wełny, oraz ozdobione łańcuchami wyblakłe spodnie polowe Wojska Polskiego i tejże armii poprzecierane buty. Wyglądał jak harcerz, lub inny rozbójnik.

Chłopak także położył plecak na drodze. Oparłszy o niego swoją broń – dubeltówkę, przykucnął obok. Następnie zdjął z głowy czarną, wełnianą czapkę, pod którą kryły się długie i nieuczesane jasnoblond włosy i przeciągnął porysowane gogle narciarskie na czoło, ponad gęste, ciemne brwi, rozkoszując się piękną pogodą.

— Żebyś się nie zaziębił, mamy jeszcze kawałek drogi przed sobą — odezwał się starszy.

— Aj, nie marudź stryjku! Młody jestem, to pogrzany, nie? – odparł dziarsko młodzieniec.

— Jak chcesz, ale żebyś potem nie jęczał, jak ostatnio, „twardzielu”... — mruknął starszy i pociągnął kolejnego łyka z manierki.

— Dobra, dobra... Daj łyka! – młody wyciągnął rękę w stronę stryja. Ten jednak odsunął się nie przerywając picia.

— No, daj, wiem, że to „herbata wspomagana”. – nalegał młody.

— Nie! – uciął stryj, odrywając manierkę od ust.

— Ale przecież skończyłem osiemnaście lat! – protestował młody.

— Przed chwilą mówiłeś coś o młodości, która cię podgrzewa. Nie potrzebujesz procentów we krwi. Ja jestem już stary dziad, więc muszę pobudzać sobie krążenie. No, reszta na potem. – starszy wędrowiec popatrzył w dno naczynia i zakręcił nakrętkę.

— Ojej, jak chcesz, to założę tę czapkę! – młody naciągnął wełniane nakrycie na głowę.

— Czy ty, Franciszku, zawsze musisz się ze mną sprzeczać? Zupełnie jak twój ojciec! – zawołał stryj.

— A czy Ty, Jerzy zawsze musisz być taki upierdliwy? Małego łyczka, no! Zobacz, mam odmrożenia palców! Ojej, jak boli! – pojękiwał symulując młody.

— Dobra, masz! – stryj podał manierkę bratankowi. – Ale łyczek na rozgrzanie!

Młody z błyskiem w oczach dorwał manierkę i pociągnął z niej zdrowo. Starszy wyrwał ją z ręki młodzieńca.

— Gdzie! A dla mnie? Na dużego kielicha pójdziemy jak urosną ci wąsy, jasne?

— Takie, jak twoje? – uśmiechnął się młody.

— Tak! – stryj uniósł dłoń w grubej rękawiczce i podkręcił wąsa. – No to se jeszcze poczekasz! – zarechotał. Młody domyślał się, ze to pewnie jakaś cytat ze starego filmu, którego nie widział i pewnie nigdy nie zobaczy. Z przyczyn technicznych.

— Gdzie my u diabła jesteśmy?! – zapytał Franciszek, rozglądając się po okolicy. Wszechobecna biel porażała oczy, droga ginęła pośród nagich drzew na horyzoncie.

— W Polsce. – zawołał Jerzy.

— Czyli dokładnie gdzie? – młody zmrużył oczy patrząc na stryja.

— Miałeś geografię w szkole powszechnej? Idziemy z Kujawszczyzny na południe, czyli dokąd?

— Nie pamiętam co było na lekcjach, często ogłaszano alarmy, musieliśmy zajmować stanowiska obronne, jeździć na wykopki, pracować przy folwarkach... — Franek spojrzał na stryja, który strzygł groźnie wąsami – Tak, wiem, to jest Mazowsze. I chyba wiem do jakiego miasta idziemy.

— To bardzo dobrze.

— Dla mnie to obojętne, zwiedzę kolejny mały kawałek świata, ale jak ty sobie poradzisz z tym faktem, stryjaszku? Taki zramolały urzędnik...

— Spokojna głowa, nie rozkleję się, na pewno nie przed bezczelnym małolatem. — wycedził Jerzy.

— Nigdy nie zabierałeś mnie tak daleko. Kilka razy wyruszałeś na te swoje podróże, chciałem iść z Tobą, a ty kazałeś mi zostać w domu, bo „coś może mi się stać”. Co za pieprzenie! Już w wieku jedenastu lat umiałem rozłożyć i wyczyścić pistolet i dubeltówkę. Sam mnie przecież uczyłeś!

Jerzy wyciągnął z chlebaka zawiniątko z jedzeniem. – Masz, zjedz coś, bo się jeszcze pomęczymy na tym wygwizdowie. — Młody porwał kawałek suszonej wołowiny.

— Czo bełdziemy łobyć, jak dołdziemy – Franek mówiąc, mocował szczękami kawałek suszonej wołowiny.

— Powiem ci, jak będziemy na miejscu. Na razie jesteśmy w podróży, która pozornie nie ma celu.

—Umh! – Franek ledwie przełknął duży kęs suszonki – Nie podoba mi się to, że nadal traktujesz mnie jak dzieciaka. Przecież wiem, że byłeś naukowcem, ale z jakiegoś powodu cię wylali!

— Sam się zwolniłem. Potrzeba mi było świeżego powietrza, życie w wielkiej metropolii wykańcza.

— A teraz wracamy tam, gdzie pracowałeś trzydzieści lat temu. Powiedz mi teraz, drogi stryju, coś będziemy łowić, prawda? Wziąłeś sprzęt do polowania na grubego zwierza. Nie sądzisz, stryjaszku, ze to nieodpowiedzialnie zaproponować komuś udział w czymś niebezpiecznym i nie podać mu szczegółów i celu wyprawy.

— Ja ciebie siłą nie ciągnąłem. Sam się zgodziłeś. Trzy dni temu strzelałeś kopytami w powietrzu, kiedy się pakowaliśmy. O nic nie pytałeś. Czyżby „generał mróz" złamał twoje morale? – wąsy stryja rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

— Po postu uznałem, że nadszedł czas na udowodnienie ci nareszcie, że jestem mężczyzną. – powiedział młody z powagą – A poza tym, we mnie jest młodość, a tobie stryjku przybywa lat i nie chciałbym stracić ostatniego krewnego.

— Gdybyś się ożenił z jakąś naiwną dziewuchą, to nie martwiłbyś się o mnie przy wyprowadzce. – ripostował starszy – Ale dobrze zrozumiałeś przesłanie tej wyprawy: zobaczę, czy poradzisz sobie sam, beze mnie.

— Trzeba było tak od razu! W czym może pomóc ci młody chłopak, po szkole powszechnej i praktykach u mechanika, znający niebiegle trzy języki? – Franek wyprężył się w blasku słońca

— Phi ,schronowa edukacja. Nawbijali ci pewnie bzdur do głowy. Dowiesz się za kilka kilometrów. Nie jest ci zimno od tego kłapania szczęką na mrozie? Może najpierw dojdziemy do na miejsce i ugrzejemy dupki w jakiej wiosce, co?

— Powiedz po prostu, że wracasz do dawnej procesji, że będziemy razem „zbierać złom". — Franciszek nie dawał za wygraną.

— Nie byle jaki złom... — mruknął pod nosem Jerzy, oglądając plecak, jakby szukał w nim dziur.

— Ha! Wiedziałem! To co, jako, że jestem twoim giermkiem, napijemy się razem w karczmie

— Nie, ja wypiję i zjem gorący gulasz. Nawet ze szczura! Ale żeby był gorący. Ty też zjesz gulasz, ale napijesz się najzwyklejszej herbaty. – stryj poklepał Franka po plecach i wepchnął kawałek wołowiny do ust. Żując skrzywił się kilka razy – widocznie brak opieki dentystycznej dawał się we znaki. Podniósł plecak i energicznym ruchem narzucił go na plecy. Następnie pomógł Frankowi.

— A nie zaczekamy na Bystrzaka? – spytał młody, rozglądając się za kimś.

— Przez ten cały czas jak tu stoimy i pieprzymy trzy po trzy, nie zainteresowałeś się naszym czworonogiem. Bystrzak ma swoje imię nie bez powodu. Poradzi sobie, a my, jeśli dłużej tu postoimy, ściągniemy na siebie uwagę jakiś darmozjadów. Na razie nie mam ochoty na potyczki z motłochem.

— Ojej, strzelałem nie raz do żywego stworzenia! Patroszyłem zwierzynę, widziałem „farbę" na śniegu. Hej, nawet ze trzy ludzkie trupy! — protestował młody.

— Widzę, że trzeba ci przypomnieć pewien szczegół: mieszkaliśmy w osadzie myśliwskiej, w pobliżu wielkiego miasta dla twojego bezpieczeństwa. Chciałem oszczędzić ci widoku trupów, ludzkiej zawiści, przemocy i gwałtów. Im mniej tego syfu zobaczysz, tym dłużej zachowasz człowieczeństwo. Krzywda bliźniego nie będzie ci obojętna, młody człowieku. — odrzekł z powagą Jerzy – Co do walki, jeszcze nie widziałeś bełta w czole. He, He! – zaśmiał się stryj i pogładził swoją kuszę. Franek przyglądał mu się z beznamiętnym wyrazem twarzy. Często miewał problemy ze zrozumieniem aluzji stryja. – Trochę byłoby szkoda wypukać całą amunicje, dużo na drogę nie brałem. — ciągnął Jerzy — Do obrzyna mam szesnaście nabojów.

— Ja mam cztery do strzelby.

— Sam widzisz, że nie możemy ryzykować. W drogę!

Wędrowcy ruszyli w dalszą drogę. Zmierzali na południowy wschód, można by rzec: w stronę słońca. Starszy patrzył pod nogi zamyślony, młodszy co chwila rozglądał się dookoła. Mijali kolejne wraki i pojedyncze domy, dawno opuszczone przez mieszkańców. Czas wlókł się leniwie.

— Jesteś pewien, stryjku, że ta droga jest bezpieczna? Zawsze mówiłeś, aby się wystrzegać asfaltowych dróg, bo można mieć niemiłe spotkanie. – zagaił Franek.

— Marek, nasz dobry znajomy, jechał tędy miesiąc temu, do dawnej stolicy Rzeczpospolitej. Mówił, że droga jest przejezdna, bandyci za dnia kryją się po lasach i ruinach wiosek. A większe drapieżniki teraz śpią, więc powinno być bezpiecznie.

Nagle chmury zakryły słońce i lekki wietrzyk zamienił się w mroźny podmuch. Drobiny suchego śniegu poderwały się w górę i niemiłosiernie ocierały twarze wędrowców. Pogoda po od kilku lat stawała się coraz bardziej kapryśna.

— Zakryj twarz! – zakrzyknął stryj do Franka i zasłonił się szalikiem. Chłopak uczynił to samo.

— Może się schowamy! – Franek próbował przekrzyczeć wycie wiatru i szalik na ustach.

— Jeszcze parę kilometrów i dojdziemy na miejsce! – wołał stryj prąc nieugięcie do przodu.

— Bez Bystrzaka nie idę! – protestował Franek.

— Musimy iść, bo zmarzniemy!

— Ale on zgubi nasz trop! Zostaję!

— Pies ma wszczepiony lokalizator, nie może się zgubić! — stryj przekrzykiwał wiatr.

— Nie słyszę! Straszny szum! Ała, coś mi wpadło do oka! Ach! — młody próbował zyskać na czasie.

— Ty upierdliwcze! Dobra, przeczekamy! – starszy szybko rozglądał się, po czym dostrzegł porzucony samochód dostawczy i wskazał go młodemu. Franek i jego stryj przedarli się przez wichurę i zalegający śnieg do wskazanego cel. Starszy podróżnik otworzył tylne drzwi wozu i gestem kazał zaczekać chłopakowi, który rozglądał się za Bystrzakiem. Maleńkie śnieżynki wdzierały się pod szalik i gogle chroniące twarz. Franek jedną ręką opierał się o strzelbę, drugą próbował się zasłonić. Jerzy wyjął latarkę i bacznie oglądał wnętrze pojazdu, jakby się czegoś obawiał. Na końcu skrzyni ładunkowej leżała sterta szmat. Starszy zdjął kuszę z pleców i za jej pomocą podniósł ostrożnie resztki wełnianego koca. Jego oczom ukazał się ludzki szkielet. Niewzruszony opuścił koc i przeżegnał, po czym zawołał bratanka.

— Czemu tak długo? – zapytał Franek zamykając za sobą drzwi.

— Sprawdzałem, czy nie ma pułapek. – odrzekł stryj ściągając szalik z twarzy i chowając okulary do jednej z ładownic. Z innej wyjął latarkę i zapalił ją.

— Tutaj? W jakimś wraku sprzed wojny? – młody odsłonił twarz i zdjął czapkę.

— Tak! Tu mogły być sidła jakiegoś zbira, albo głodnej chłopskiej rodziny.

— Potrzask?

— To też! Albo wyobraź sobie, że opierasz się o metalowe nadkole, jak robisz to w tej chwili i obrywasz prądem z akumulatora.

Chłopak zerwał się na kolana i obejrzał ścianę wozu, po czym spojrzał na stryja.

— Masz mnie za idiotę? Akumulator by działał po tak długim postoju? Ty to masz wyobraźnię! – zaśmiał się chłopak.

— Wiem ,bo kilka razy sam tak zrobiłem. Akumulator wystarczy okręcić szmatami i kawałkami styropianu, dolać elektrolit na maksa, odłączyć elektrykę samochodową i z kabli rozruchowych zrobić prowadnice po podłodze i zakryć czymś. Na jeden, dwa potężne strzały wystarczy. Prosta pułapka, którą można zrobić w warunkach polowych. Rozładowany akumulator do niczego się nie przyda, ale każdy naiwny podróżnik ma coś wartościowego w tobołkach. Niektórym może wystarczyć sam podróżnik...

— Hej, no tu przecież jest cywilizacja, nie? – zawołał młody. — A jak wlejesz za dużo kwasu, to akumulator wybuchnie!

— No, raz mi taka pułapka wybuchła, rzeczywiście. Aha, bo ja robiłem ją najczęściej z termojądrowego akumulatora, ten to ma moc! Ale zwykły też można tak przerobić, raz mi nie działał i wybuchł.... W każdym razie, jak zastawiasz pułapkę, to co jakiś czas ją sprawdzasz i doładowujesz.

— Zimno mi... — zajęczał młody.

— A gdzie twój „młodzieńczy żar”? Jak chcesz, to weź sobie z tamtej sterty koc.

— Nie wiem, nie wyglądają zachęcająca. Zajrzałeś co jest pod nimi? – zapytał Franek z nutą niepewności w głosie — Może paralizator z akumulatora? – dodał z ironią.

— Nie! Zwykła mina przeciwpiechotna! – rzucił starszy z lekką arogancją, charakterystyczną dla mężczyzn w średnim wieku – No, zajrzyj! – zachęcił.

Młody podniósł koc i wzdrygnął się na widok ludzkich szczątek. Nakrył je z powrotem i spojrzał na oblicze stryja. W świetle latarki, jego uśmiech wydawał się jeszcze bardziej demoniczny niż zazwyczaj.

— To na poczet twojego doświadczenia. Czwarty trup w życiu.

— Jesteś dwulicowym draniem! Sam uczyłeś mnie szacunku dla zmarłych.

— Teraz uczę cię sztuki przetrwania. Jak będziemy mówić szeptem, to zmarły się nie zbudzi.

Franek zatrząsł się. Prawdopodobnie z zimna, lub na myśl, o zawarciu nowej znajomości z denatem. Stryj wyjął z chlebaka kawałek wołowiny i podsunął ją Frankowi, lecz ten odmówił. Jerzy wzruszył ramionami i wsunął mięso do ust, znów krzywiąc się próbując je rozgryźć.

W samochodzie zaległa cisza. Wiatr wył na zewnątrz niemiłosiernie, zagłuszając wszelkie inne odgłosy. Mimo to Franek wytężał słuch. Skupienie zakłócały mu mlaski towarzysza, który pokonywał kolejną porcję suszonej wołowiny, po czym zaczął czegoś szukać w swoim dobytku, straszliwie przy tym szeleszcząc. Długowłosy młodzieniec zmarszczył gęste brwi i nasłuchiwał dalej.

Stryj wyjął dziwne urządzenie wielkości dwóch dłoni. Było to połączenie przedwojennego minikomputera i telefonu komórkowego. Jerzy położył urządzenie na kolanach i włączył je. Mały kineskop w zielonej obudowie z grubego plastiku zaświecił się na niebiesko. Jerzy wyciągnął antenę z boku urządzenia i zaczął manipulować dużymi klawiszami, które stukały dość głośno. Franek spojrzał na stryja, gdy ten rzekł:

—Bystrzak będzie tu za 37 sekund.

—PEK tak ci pokazał? — uśmiechnął się Franek.

—Tak. Fajna zabawka, nie? Dostaniesz go w spadku. — mrugnął okiem Jerzy.

—Czyli jeszcze długo... — westchnął młody — Prędzej zrobię własnego.

—Jak uzbierasz dość materiałów. To właśnie jest odpowiedzialność, młodzieńcze! Ale takiego Podręcznego Elektronicznego Kompana nie dostaniesz nigdzie. — zawołał Jerzy

—Ty i te twoje „podkręcane zabawki”.

Nagle rozmowę przerwał krótkie szczeknięcie. Wędrowcy rozproszeni rozmową podskoczyli ze strachu, po czym roześmieli się.

Franek otworzył drzwi ciężarówki, po czym odsunął się odepchnięty przez psa, który wskoczył do środka.

—Uch! Bystrzak, spokojnie! — wysapał Franek, podnosząc się z podłogi.

Bystrzak był kundlem, jak większość obecnie żyjących psów. Wyglądał jak połączenie terriera niemieckiego i bliżej nieokreślonego owczarka. Jego czarno — brązowa sierść połyskiwała w świetle latarki. Kark zwierzęcia zdobiła dziwna obroża, która była wrośnięta w ciało. Bystrzak wypuścił coś z pyska i podszedł do Jerzego, który pogłaskał psa po głowie, po czym obejrzał jego obrożę.

— Skubany! Patrz stryju co złapał? — Zawołał Franek — Zając!

—Zobacz, czy nie ma trzech uszu, albo bardzo długich łap.

—Nie, zdrowy zajączek. Piesek nam byle czego nie przynosi – chłopak przytulił psa, a ten przeturlał się na grzbiet, domagając drapania po brzuchu.

—Odpoczniemy jeszcze parę minut i trzeba iść, bo do miasta już blisko, lepiej żebyśmy dostali się tam niezauważeni. — Jerzy złożył komputer i schował go do kieszenie plecaka.

—Dlaczego?

—Nie mogę ci powiedzieć. Po prostu chcę coś sprawdzić.

—Zacząłeś się dziwnie zachowywać, od kiedy ten menel w Toruniu powiedział ci coś o robotach. Wiem, że byłeś naukowcem. Wiem że pracowałeś w Warszawie i pewnego dnia po prostu się zwolniłeś. Kilka dni później wybuchła Wojna, więc nawet nie wiem, czy uciekałeś przed kimś. Po co tam idziemy?

—Schowaj tego zająca, będzie na handel. — Jerzy oparł głowę o ścianę ciężarówki i przymknął oczy. Rozmowa była skończona.

*

Pogoda uległa poprawie. Słońce znów pojawiło się na niebie, a wrony krążyły w nad okolicą. Można pomyśleć, że ptaki czekały, aż dwóch dzielnych wędrowców i ich kudłaty towarzysz powstrzymają się od dalszej wędrówki, powstrzymają od czegokolwiek i staną się pożywieniem. Jak wielu nieszczęśników przed nimi. Odsłonięte twarze podróżników nie zdradzały żadnych obaw. W milczeniu mijali na wpół wymarły las okalający drogę.

— Oto przed nami, Warszawa! — zawołał Jerzy, zatrzymując się przed tablicą z nazwą miasta.

— Czemu to miasto wygląda na nietknięte przez Wojnę? – spytał trzeźwo Franek.

— To jedna z tajemnic, którą musimy wyjaśnić.

Nagle w okolicy usłyszeli metaliczne kroki. Jerzy wyjął obrzyna i zaczął się nerwowo rozglądać. Franek pierwszy zauważył humanoidalnego robota w pancerzu, który kierował się prosto na nich.

— A więc ten skurwiel to zrobił. – szeptem powiedział Jerzy.

— Kto? – spytał Franek.

— Nieważne, schowaj się, a jak zacznę strzelać, też to zrób.

— Mamy mało naboi! – zaprotestował młodzieniec.

Robot musiał ich zauważyć, bo zaczął wygłaszać swoją metaliczną mową przemówienie o tym, że potrzebuje ich mózgów. Franek nie wytrzymał i wystrzelił, z mizernym skutkiem.

— Głupku! – krzyknął Jerzy. – Uciekaj stąd!

— Nie zostawię cię!

— Teraz już na to za późno! Muszę dostać się do schronu, ale ty uciekaj! Już! – głos starca zabrzmiał niesamowicie groźnie, Franek zaczął uciekać. Nigdy więcej nie widział Jerzego.